



Malowidło w kościele
w Moście na Malcie

fol. xix

Nie zamartwiajmy się



ks. Jan Sochoń

Bożego Narodzenia oczekujemy z drżeniem serca i nieukrywaną radością. W tym roku radość ta wymaga silniejszej niż dawniej wiary i zaufania.

Nie jesteśmy już niczego pewni. Pandemia wyróciła świat do góry nogami. To, co się stało w ostatnich miesiącach, uliczny wylew bezdusznego sprzeciwu wobec tego, co wywiedzione z chrześcijańskiej skali wartości oraz instytucji Kościoła, przyprawia o zawrót głowy. I ludzi wierzących bardzo, ale to bardzo boli...

Z wielu stron słychać głosy, że nastal wreszcie moment apokaliptyczny, domagający się właściwej postawy i należytego ujęcia, gdyż

zrozumienie realiów umożliwia podejmowanie celnych decyzji, zwłaszcza gdy to, co się dzieje, niesie złe czy gorszące skutki. Żyjemy – czego nie możemy już zlekceważyć – w aurze dogłębnego kryzysu, sięgającego niemal wszystkich wymiarów kultury, najbardziej jednak przenikającego obszary antropologii, metafizyki i religii. Można powiedzieć, że wszystkie możliwe do zrealizowania konsekwencje sekularyzacji, zdżyczenia obyczajów, zaniku autentycznych relacji międzyludzkich, akceptacji manipulacji genetycznych, zmiany statusu rodziny i tym podobne na naszych oczach stają się niszcącym faktem.

Oczywiście, nie jesteśmy w stanie zapobiec wypełnieniu się historii zbawienia, która zakończy się ponownym przyjściem Chrystusa, ale możemy otworzyć się na Jezusowy sposób życia. Żeby to jednak uczynić, trzeba przebić się przez gęste mgły zalegające nad adwentowym czasem, przygotowującym do liturgicznego przeżycia świąt Bożego Narodzenia. Nie będzie to łatwe, ponieważ wiele środowisk, ovladniętych pasją życia w rzeczywistości okrojonej do okrutnych i znajdujących się poza dobrem i złem kategorii, naciska, by zdobyć władzę i wpływy. Ochrona religijnego stylu życia nie jest przez nie w ogóle brana pod uwagę.

Musimy zatem świadczyć o prawdzie Wcielenia i starać się przebywać jak najczęściej w jego blasku. Dosłyszeć, że do najważniejszych momentów życia należą spotkania, kiedy

odwiedzamy się nawzajem, albo nawet spotykamy niespodzianie. Tylko widząc się twarzą w twarz, jesteśmy w stanie głębiej się poznać, odsłonić nieco ze swej osobowej tajemnicy, przeprosić za urazy, niezręczności czy zadane cierpienia. Należy przeto – teraz jest to niestety utrudnione – wzmóc wysiłek i wyruszyć w drogę. To stara antropologiczna figura, zapoczątkowana jeszcze przez starożytnych Greków, wyraźna też na kartach Biblii.

Podobnie działo się w życiu Maryi. Łukasz Ewangelista opowiada, jak to wybrała się Ona śpiesznie w podróż, by odwiedzić swoją krewną Elżbietę, która – o tajemnico! – w podeszłym wieku obdarowana została łaską macierzyństwa. Musiał to być spory wysiłek, ponieważ wędrówka trwała trzy albo cztery dni. Ale Maryja zapewne nie odczuwała specjalnego zmęczenia. Niosła w sobie niesłychaną wieść: będzie matką Boga; zwykła dziewczyna, żyjąca na najniższym stopniu środowiskowego uznania. Kiedy jednak przyjęła to Boże wybranie, natychmiast została włączona w tajemnicę Trójcy Świętej i z chwilą Poczęcia zaczęła uczestniczyć w czuwaniu nad Bożym planem Zbawienia. Weszła w obszar paradoksów i dzięki temu, podobnie jak sam Bóg, rzuciła wyzwanie ludzkiej wierze.

WYCHWAŁAJMY PANA

Maryja przebywała u Elżbiety około trzech miesięcy. Na ten błogosławiony czas